



Poliglotyczni
kochankowie

Lina Wolff

MARGINESY



Przełożyła Dominika Górecka

Książka ukazała się dzięki dofinansowaniu Swedish Arts Council

SWEDISH
ARTSCOUNCIL



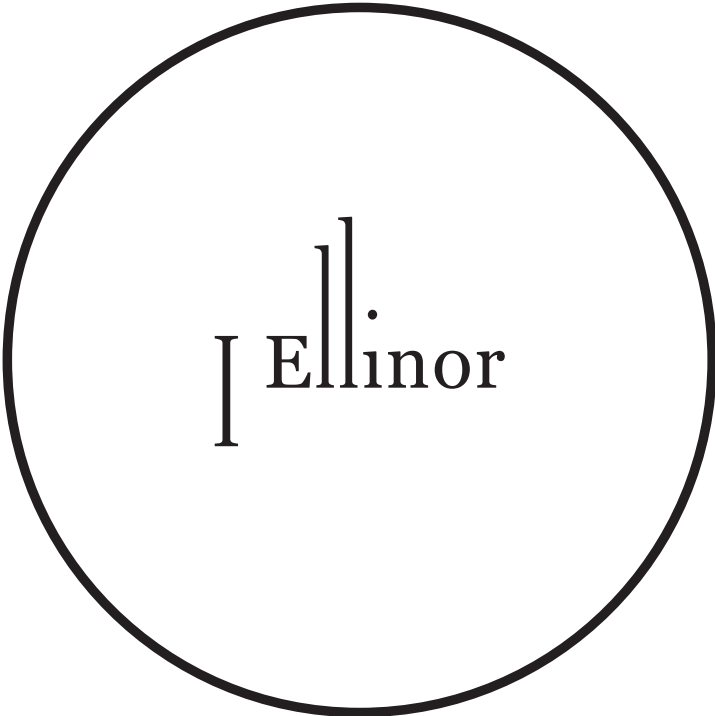
De polyglotta älskarna

COPYRIGHT © Lina Wolff, 2016

First published by Albert Bonniers Förlag, Stockholm, Sweden
Published in the Polish language by arrangement with Bonnier Rights,
Stockholm, Sweden and Macadamia Literary Agency, Warsaw, Poland

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Dominika Górecka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY,
WARSZAWA 2017



*The path of the eclipse occurs in any womans life
when she is consumed within a mans penumbra.*

STEPHEN KING

Nigdy nie sądziłam, że będę szukać tego jednego jedynego przez internet. Było w tym dla mnie coś zbyt wyrachowanego, poza tym nigdy nie pisałam anonsu na portal randkowy, ani niczego podobnego, i nie wiedziałam, co powinnam napisać, żeby jak najlepiej się sprzedać.

Do tej pory umawiałam się z chłopakami ze wsi. Pierwszy, dajmy na to, miał na imię „Johnny” i trudno było dostrzec w nim coś wyjątkowego – przynajmniej nie na pierwszy rzut oka i nie dopóki się zrozumiało, że jest naprawdę chory. Chodziliśmy do tej samej klasy, a wszystko zaczęło się od tego, że zapytał:

– Czy jest coś takiego, o czym zawsze marzyłaś, żeby zrobił dla ciebie mężczyzna?

Podaję, że usłyszał to w jakimś filmie i już wtedy, całkiem na poważnie, uważał siebie za mężczyznę. Sądzę też, że spodziewał się całkiem innej odpowiedzi niż ta, którą otrzymał. Czegós w rodzaju: „Zawsze chciałam spotkać mężczyznę, który sprawi, że postradam zmysły w łóżku”. Lub jakiegoś konkretnego życzenia, które podpowie mu, co ma robić. Ja jednak powiedziałam:

– Zawsze chciałam, żeby ktoś pokazał mi, jak się bić.

Gdy zobaczyłam, że nie jest aż tak zdziwiony, jak się tego spodziewałam, dorzuciłam:

– Bić się jak prawdziwy drań.

Johnny pokiwał powoli głową i splunął na ziemię:

– Jeśli właśnie tego chcesz, kotku, to cię nauczę.

Jeszcze tego samego wieczoru zabrał mnie do miejsca, które nazywał *fight clubem*. Tworzyła je grupa ludzi, którzy oglądali *Fight Club* i się nim zainspirowali, ale w odróżnieniu od bohaterów filmu naprawdę znali się na sztukach walki. Spotykali się trzy razy w tygodniu, żeby się bić. Każdy stawał do walki z każdym. Schodziło się do podziemi szkoły, a potem szło się dalej w głąb piwnicy. Wnętrze było wyłożone matowymi kafelkami w odcieniach brązu i pomarańczy, które, w odróżnieniu od zwykłych kafelków, zdawały się pochłaniać wszystkie dźwięki. Potem szło się długim przejściem podziemnym, boso, w milczeniu, z torbami treningowymi przerzuconymi przez ramię. Słyszać było tylko szum wentylatorów. Następnie wkraczało się do sali, gdzie czekali już ci z naszej wsi, którzy chcieli się bić. Wybieraliśmy tymczasowego prowadzącego, a potem robiliśmy wspólną rozgrzewkę. Wszyscy byli świetnie rozciągnięci, nawet chłopaki, żaden nie wstydził się pokazać, że potrafi zrobić szpagat i sznurek. Puszczali przy tym głośne bąki, ale obowiązywała niepisana zasada, że nie wolno się śmiać. Potem się biliśmy. Byłam jedyną początkującą i jedno wiedziałam na pewno – że śmiertelnie się boję. Kiedy się śmiertelnie boisz, masz przewagę – mówił Johnny. Kiedy się kurewsko boisz, od razu jesteś do przodu, ciało jest mądrzejsze, niż ci się wydaje, i jeśli pozwolisz mu działać na autopilocie, potrafi zrobić prawie wszystko. Potem jednak musisz z powrotem nad nim zapanować.

– Ludzi nie wkurza to, że ktoś ich napadł, tylko to, że nie potrafią się bronić – mówił.

Johnny umiał się nie tylko bić, lecz także strzelać, i czasem jeździliśmy na strzelnicę, która znajdowała się między naszą wsią a sąsiednią. Chodziliśmy w pomarańczowych nausznicach i patrzyliśmy, jak inni strzelają z pistoletu i ze strzelby. Johnny pokazywał mi, jak staje się w rozkroku, unosił broń i celował w rzutki. Najpierw w symulatorze, potem naprawdę. Któregoś dnia stwierdził, że może już mnie zabrać na polowanie. Przed wyjazdem dużo o tym opowiadał – że będziemy musieli wyruszyć nocą, przyzwyczaić wzrok do ciemności i przez cały czas zachowywać absolutną ciszę.

Tylko raz strzelali w mojej obecności, do dzika. Strzał rozległ się w ciszy i usłyszeliśmy, jak zwierzę biegnie, ale teraz jakby inaczej, bardziej niezdarnie, łamiąc po drodze gałęzie, a potem toczy się, oszołomione, jakby wiedziało, że za chwilę umrze, i brnie w panice przez zarośla. Podeszliśmy bliżej i w którymś momencie Johnny poświecił w górę latarką. Zobaczyłam nagie gałęzie buków, jak wyciągają się w stronę rozgwieżdżonego nieba niczym długie, ciemne kości. Johnny złapał mnie za rękę, wsunął sobie latarkę między nogi, a drugą ręką przeciągnął po krótko ostrzyżonych włosach, w przód i w tył. Chciałam zapytać, dlaczego tak robi, ale się nie odezwałam. Miałam wrażenie, że chce szepnąć mi coś do ucha i chyba było to coś ważnego, co dotyczyło nas obojga, ale w tej samej chwili jeden z myśliwych zawołał, że znalazł dzika. Poświecił na niego latarką. Pocisk utkwiał w karku, krew lała się po czarnej szczecinie. To była duża locha i dopiero wspólnymi siłami udało nam się ją przenieść na pakę pikapa. Następnego dnia miała

zostać rozebrana w gospodarstwie kumpla Johnny'ego. Pojechaliśmy tam po śniadaniu i kiedy dotarliśmy na miejsce, wszędzie była już krew i szczecina, bo nikt w zasadzie nie znał się na uboju. Wszyscy walili, gdzie popadnie, i tylko bez przerwy powtarzali, że trzeba się spieszyć. Nigdy więcej nie pojechałam na nielegalne polowanie.

Któregoś wieczoru powiedziałam Johnny'emu, że jeśli jest gotów, to ja też jestem. Uśmiechnął się do mnie, a ja pomyślałam, że nigdy wcześniej nie widziałam jego zębów, były duże i białe, jak kostki cukru, idealnie osadzone w dziąsłach i dziwnie kontrastowały z resztą twarzy, nieregularną i pooraną bliznami po pryszczach. Zrobiliśmy to na platformie jego pikapa, a kurtka, którą podłożył mi pod pupę, upaprała się krwią.

– Rzadko która dziewczyna krwawi po pierwszym stosunku – powiedziała nam pielęgniarka na lekcji wychowania seksualnego. – Dziewczyny jeżdżą teraz konno, na rowerze, skaczą i dokazują, i zwykle nie mają już błony dziewiczej.

Najwyraźniej miałam wyjątkowo spokojne dzieciństwo, bo moja błona dziewicza z całą pewnością była na swoim miejscu. Na widok krwi Johnny nawet się nie skrzywił i już po kilku sekundach miał wzwód. Kiedy skończył, nie wiedziałam, co powiedzieć. Już wtedy jednak przeczesałam, że Johnny to ktoś, na kogo trzeba uważać. Podobnie jak większość chłopaków z moich okolic był, rzecz jasna, porywczy, niewykształcony i napalony, i taki miał już pozostać do końca życia. Było w nim jednak coś jeszcze.

- Nie wiedziałem, że to twój pierwszy raz – powiedział.
- A twój? – zapytałam.
- No tak. Mój też.

Spojrzał na lepką od krwi kurtkę.

– No nic. Od czegoś trzeba zacząć.

Następnym razem poszło nam dużo lepiej. Nie mówiąc już o trzecim, czwartym i piątym. Johnny powiedział wtedy, że pieprzymy się jak prawdziwe gwiazdy porno.

Gdy mieliśmy szesnaście lat, złamałam Johnny'emu nos grzbietem dłoni. Nie celowo, machnęłam odruchowo ręką i nie miało to nic wspólnego ze sztukami walki. Tak czy inaczej, zrobiła się dzika afera. Chodziliśmy wtedy jeszcze do szkoły średniej i szybko dowiedzieli się nauczyciele, pielęgniarka, rodzice Johnny'ego i moi. Matka Johnny'ego powiedziała:

– Nie chcę, żebyś zadawał się z tą dziewczyną.

Staliśmy na boisku, a krew lała się Johnny'emu z nosa. Jego matka przybiegła, gdy tylko usłyszała, co się stało, i teraz stała, rzucając mi pogardliwe spojrzenia.

– Mamo, Ellinor nie jest już małą dziewczynką – stwierdził Johnny. – Jest damą. I to jaką.

Uśmiechnął się do mnie, a grzywka zsunęła mu się na oczy.

– I to jaką – powtórzył i uśmiechnął się jeszcze szerzej swoimi kostkami cukru.

Miałam ochotę powiedzieć, żeby nie stał tak i nie szczyrzył zębów. Zapomniałeś już, jak cię podniecił widok krwi, jesteś nieźle popierdolony, Johnny, czegoś takiego nie da się ukryć. Chciałam to powiedzieć, ale możliwe, że przez ten jego zakrwawiony nos poczułam coś zupełnie innego, dlatego podeszłam i go przytuliłam. Nigdy wcześniej nam się to nie zdarzyło. Robiliśmy wszystko razem. Pomagaliśmy sobie ze sztucerem i bronią, biliśmy się i pieprzyliśmy,

ale nigdy wcześniej się nie przytulaliśmy. Teraz jednak to zrobiliśmy, a ja poczułam, jak jego ciepła krew kapie mi na szyję.

– Teraz już umiesz wszystko, czego chciałem cię nauczyć – powiedział.

Dodał też, że jeśli jeszcze raz użyję tego, czego mnie nauczył, przeciwko niemu, zabije mnie bez mrugnięcia okiem.

– O ile ci się uda – rzuciłam.

– Nie wkurzaj mnie – odparł, a wzrok mu pociemniał.

Z czasem popadliśmy w łóżku w rutynę, choć może trudno było w naszym przypadku mówić wtedy o rutynie.

– Jedziemy do mnie – rzucał od niechcienia i wkładał mi rękę między nogi.

Oznaczało to mały domek myśliwski jego ojca niedaleko naszej wsi, gdzie mogliśmy mieć święty spokój. Była tam boazeria na ścianach i jaskrawożółte zasłonki w białe paski, które zawiesiła pewnie jego matka, pokój dzienny z kominem i dwie sypialnie. Weszliśmy do jednej z nich, a Johnny powiedział:

– Rozbierz się i połóż na łóżku.

Zaczęłam się rozbierać, a on wyszedł do kuchni, żeby zrobić kawę. Po chwili wrócił z kubkiem, przysunął krzesło do łóżka i pił, gapiąc się, jak leżę na plecach z rozchylonymi nogami. Czułam się, jakby mógł zajrzeć w głąb mnie, w górę i do środka, jakby wewnątrz mojego ciała znajdował się ciemny kanał, do którego można było wejść i wyjść z zupełnie innej strony.

– Co się gapisz? – zapytałam.

– Pamiętasz tych aktorów porno? Oni się niczego nie wstydzą.

– Pamiętasz, jak złamałam ci nos? – odparłam.

– Mów mi tak jeszcze – powiedział wtedy i uniósł kubek jak do toastu.

Potem siedział jeszcze przez chwilę, popijając kawę. Kiedy skończył, odstawił kubek na półkę i zaczął rozpinąć spodnie.

– Kiedy dasz mi wejść w drugą dziurkę? – jęknął, gdy to robiliśmy.

Powiedziałam mu wtedy, że gdybym była kierowcą ciężarówki, nie przysłoby mi nawet do głowy, żeby parkować w rynsztoku, skoro mam elegancki parking zaledwie piętro wyżej. Johnny roześmiał się i już nigdy więcej mnie o to nie zapytał.

Po kilku latach przytyłam. Nie byłam gruba, ale najwyraźniej kilka dodatkowych kilogramów wystarczyło, aby Johnny uznał, że nie jestem już atrakcyjna. Spotykaliśmy się coraz rzadziej, aż w końcu przestał dzwonić. Wreszcie zebrałam się na odwagę i wykręciłam jego numer.

– Może pojedziemy kiedyś postrzelać? – zapytałam. – Albo powalczyć?

Powiedział wtedy, że kogoś poznał. Potem widziałam go z nią we wsi. Była chuda i wysportowana, miała długie, ciemne włosy spięte w koński ogon, który opadał na plecy. Zastanawiałam się, jak im jest w łóżku, czy siada przed nią i gapi się, pijąc kawę, i czy jej się to podoba.

Przez kolejne lata dalej się biłam. Ludzie grają w brydża, śpiewają w chórze albo tańczą raz czy dwa w tygodniu – żeby mieć coś z życia na starość lub przynajmniej złagodzić jej skutki, a ja chodziłam do lokalu w piwnicy, żeby

się bić. Dobrze mi to robiło, z wiekiem człowiek stawał się coraz lepszy. Nikt nie dostawał punktów za to, że jest młody i ładny, nic nie było za darmo, wszystko trzeba było sobie wywalczyć. Kiedy z czasem zaczęłam poznawać ludzi z innych środowisk, mówili, że nie potrafią zrozumieć, jak ktoś może chcieć spędzać w ten sposób czas, skoro zamiast tego mógłby poczytać dobrą książkę albo posiedzieć przy lampce wina.

– Mało co w życiu jest lepsze od walki – odpowiadałam wtedy.

Dobrze wiedziałam, jak to mogło zabrzmieć, ale wciąż uważam, że to prawda. Nigdy nie byłam tak blisko drugiego człowieka jak wtedy, w tamtej piwnicy. To ma związek z koncentracją i z tym, co widzisz w oczach tej drugiej osoby. Tak nie działa nawet seks. Niektórzy zamykają oczy i przepieprzają życie z ręką w spodniach lub między czyimiś nogami, a w ich głowach i tak nic się nie dzieje. A kiedy stoisz przed przeciwnikiem, masz poczucie, że możesz wejrzeć w głąb niego i zobaczyć, kim on lub ona jest. Poza tym, i to również mówiłam znajomym, nie jesteś stary, dopóki potrafisz kopnąć w głowę kogoś wyższego od ciebie.

Czasem myślałam o Johnnym, o tym, jak bardzo jest popierdolony. Potem zrozumiałam jednak, że nie to jest najważniejsze. Najważniejsze, żeby nie zostać samemu.

Powieść Liny Wolff trzyma w emocjonalnym klinclu, każe szukać kolejnych poziomów. Na pozór automatyczne postaci buzują od środka. Krzyczą o miłość, szczęście, zwykłe siedzenie przy kolacji i rozmawianie o tym, jak minął dzień. Ale krzyczą niemo. Wstrząsający obraz samotności.

SYLWIA CHUTNIK

Max Lamas marzy o kochance, która będzie mówić we wszystkich znanych mu językach. Poszukiwania prowadzą go ze Sztokholmu do Włoch, gdzie poznaje markizę stojącą na krawędzi bankructwa. Ellinor pochodzi ze wsi w Skanii. Pewnego dnia zamieszcza w sieci ogłoszenie: *Mam trzydzieści sześć lat i szukam czulego, choć nie nazbyt czulego mężczyzny.* Ci, których spotyka, nie spełniają jednak jej oczekiwań. A Lucrezia jest świadkiem skandalicznego romansu swojej babki.

Połączy ich pewien maszynopis, wielojęzyczny zapis miłosnej fascynacji i szaleństwa, dla jednych przedmiot troski, dla innych obiekt nienawiści.

W tym zagmatwanym splocie wydarzeń bohaterowie zmagają się i zatracają. Marzą o byciu zrozumianym. I o tym, by zaspokoić swe najskrytsze pragnienia. Jednak przede wszystkim poszukują miłości i języka, którym będą potrafili o niej opowiadać.

www.marginesy.com.pl



9 788365 780706

cena 37,90 zł

patronat medialny



NIESTATYSTYCZNY

w sprzedaży także

